

Andrzej Teodor Aleksander Grosse

1916-1993

Absolwent Wydziału Nawigacyjnego z 1939 r., wnuk admirała w austro-węgierskiej flocie, uczestnik rejsu „Darem Pomorza” dookoła świata, polski żołnierz we Francji, architekt.

Urodził się 23 stycznia 1916 r. w Krakowie (rodzice Juliusz i Anna Ripperówna), ojciec był krakowskim kupcem winiarzem, artystą malarzem (po paryskich studiach), starszym zboru ewangelickiego w Krakowie. Firma Grosse zajmowała się głównie handlem herbatą oraz winem i gospodarowaniem własnymi winnicami tokajskimi na Węgrzech, rodzina mieszkała przy jednej



z najstarszych ulic Krakowa – Grodzkiej 60, w kamienicy wzniesionej w 1871 r.

Dziadek ze strony mamy Juliusz Franciszek Ripper, pochodzący z Podgórze (dziś dzielnica Krakowa), był pierwszym polskim admirałem w służbie austriackiej.

Choć Andrzej Grosse go nie poznał, gdyż J. F. Ripper zmarł dwa lata przed przyjściem na świat wnuka, postanowił zostać marynarzem – tak ważną postacią był dla niego dziadek.

„Pozostawił sporo żywych wspomnień i pamiątek, które w domu rodzicielskim były opowiadane i pieczołowicie przechowywane – dla mnie owiane nimbem tajemniczości. Byłem z rodzeństwa najmłodszy, brat był starszy o 11 lat i pamiętał jeszcze dziadka, a ja mieszkając z dala od morza, marzyłem o morskich podróżach i przygodach. Istnieje jeszcze u mnie model hanzeatyckiego barku «Ludwig», który z mnóstwem lin stanowił dla mnie zaczarowany obiekt zain-



Zdjęcia z albumu Andrzeja Grosse

teresozań. Rozwikłać te liny, co one tam robią, po co one są. Ten obraz nosiłem dopóty, dopóki nie znalazłem się jako kandydat na «Darze Pomorza». Tu poczułem się w swoim żywiole. Las lin stanowił dla mnie najpiękniejszy widok. A pierwsze postawienie żagli to było prawdziwe oszołomienie: żagle, które wiatr napinał i niemal bezszelestnie, majestatycznie wpadając czasem w rezonans z kadłubem, drgał jak żywa istota – pchały statek do przodu¹.

W 1934 r. zdał egzaminy do Państwowej Szkoły Morskiej i zaliczył czterotygodniowy rejs kandydacki. Jak napisał jego szkolny kolega, „uczono nas regulaminu służbowego, pracy, obowiązków, zapoznano ze statkowymi urządzeniami, żaglami, olinowaniem oraz wszystkimi sprawami konserwacyjnymi oraz malowaniem. Równocześnie odbywały się intensywne ćwiczenia szalupowe z nauką wiosłowania. Kandydatka trwała 4 tygodnie, po czym statkowa komisja wydała orzeczenie, którzy spośród kandydatów nadają się do zimowej podróży. Niektórzy odpadli, niektórzy zrezygnowali dobrowolnie. Kandydatkę można porównać do okresu rekruckiego w wojsku, z tą różnicą, że nasi instruktorzy to absolwenci Szkoły, którzy mieli nas nauczyć obsługi statku².

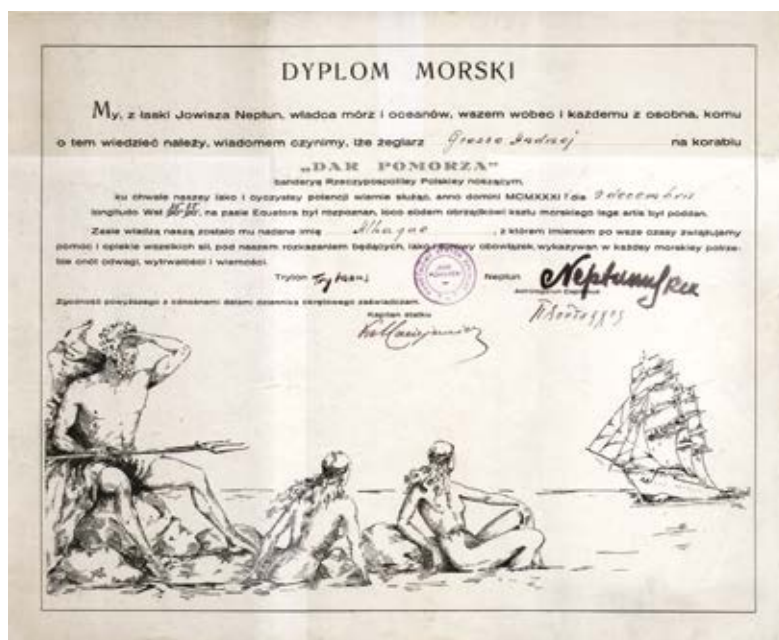
Andrzej Grosse wspominał potem: „Liny wzbudzały bezpieczeństwo, ale jak je poznać – to wydawało mi się nieosiągalne. Nazwy nowe, obce, zadanie każdej liny różnorakie. Do dziś podziwiam się, że w kilku zaledwie tygodniach poznałem ich nazwy i celowość.

– Szklanym ch... stworzyła cię mama? – wyrwał mnie z refleksyjnego nastroju starszy kolega Czechowicz, już uczeń I kursu, gdy obserwując prędkość statku, zasłoniłem mu bulaj. To jest prawdziwy marynarz – pomyślałem sobie, ja bym na takie powiedzonko nigdy nie wpadł; zaimponował mi. Kiedy ja tak się nauczę obrazowo i dosadnie wyrażać – daleko mi do tego³.

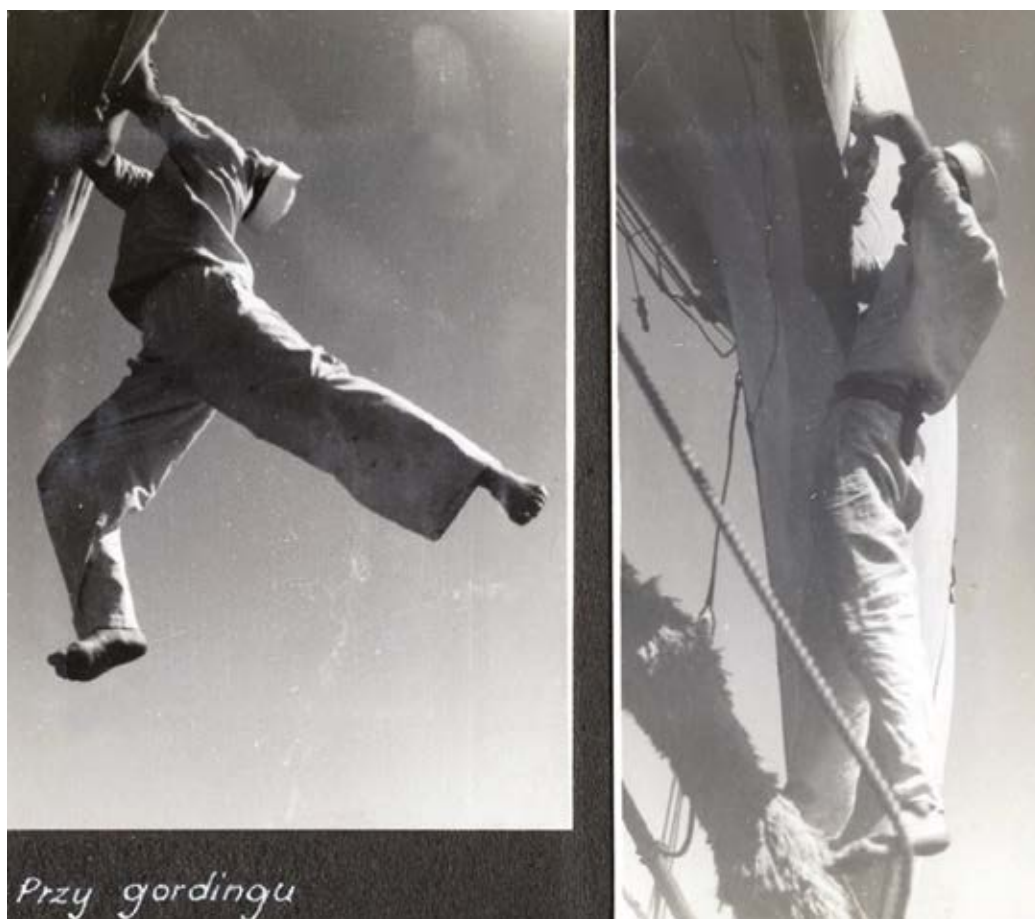
Żaglowiec z uczniami wyszedł 16 września 1934 r. w rejs dookoła świata.

Obowiązkowym dla nowicjuszy był chrzest morski na równiku, który „przedstawiał się następująco: najpierw delikwent był zanurzany do wody w basenie zbudowanym specjalnie w tym celu z brezentu nad lukiem wejściowym do międzypokładu,

a następnie przejść przez «rekina», tj. nawiewnik z płótna żaglowego długości ok. 3 m. Wszystko w akompaniamencie dzikich wrzasków diabelskich i biczowaniu ogonami po «rekinie». U ujścia czekał już diabeł ze strumieniem wody pod ciśnieniem. Po zakończeniu chrztu przyszła kolej na same diabły, które jeszcze nie były chrzczone. Ale to nie było łatwe, gdyż ciała mieli wysmarowane sadzami z łojem i wolno im było się bronić. O ile sobie przypominam, to chrzest im uszedł bezkarnie, a nawet za dobrą robotę dostali po kieliszku. Każdy ochrzczony dostawał świadectwo z nowym gwiazdowym imieniem, aby władze Neptuna nie robiły trudności przy następnym przekraczaniu równika⁴.



Po świętach Bożego Narodzenia żaglowiec skierował się na Hawaje. „Pogoda dopisuje cały czas, wkrótce płyniemy pasatem, prawym halsem. To jest zawsze przeżycie: stały wiatr, lekkie obłoki i jednolity przechył na burtę. Płyne się jak w bajce. [...] Na Hawajach gubernator urządził dla nas przyjęcie, jednak liczba zaproszonych była ograniczona. Wobec tego komendant zarządził, że pojedą ci, którzy przejdą pomyślną prezentację. Odbyła się zbiórka i zostałem zaliczony do przyjęcia. Tymczasem podszedł do mnie kol. Mermon, który nie został zaliczony i zaproponował mi zamianę za parę dolarów. Oficer przeprowadzający inspekcję zgodził się na



Kolega Wiesław Szczepkowski (abs. WN z 1939) złapał wiatr

Zdjęcia z albumu Andrzeja Grosse

to, a ja zląkomiłem się i oddałem mu swoje miejsce. Tego do dziś nie mogę odżałować, gdyż przyjęcie było na poziomie. Prawdziwa uczta hawajska: bez sztućców – wieprzowe mięso pieczone w rytuale hawajskim, kuche, do tego owoce i inne smakołyki.

Każdy miał swoją partnerkę. Co więcej, po uczcie – jak mi opowiadał kolega – niektóre partnerki urządzały jeszcze przyjęcia w swoich chatkach z nocną kąpielą na Waikiki beach. Do świtu. [...].

Z wielkim żalem rozstawaliśmy się z uroczymi wyspami, w których panuje łagodny klimat oceaniczny z przebogata roślinnością, w strefie zwrotnikowej o wiecznej wiośnie (wtedy był styczeń), co wraz z sympatycznymi, pogodnymi, gościnnymi i towarzyskimi tubylcami pozostawiło we wszystkich sentymentalne wspomnienie. W takich niemal tragicznych chwilach, po podniesieniu żagli i po zrobieniu klaru, siadaliśmy przy luku i śpiewali przy akompaniamencie gitary. A tu szczególnie było co nucić – nowe melodie hawajske, które zasłyszeliśmy, wpływając do portu. Ukradkiem i nie ukrad-

kiem rzucaliśmy zwiędłe wieńce kwiatowe do wody w nadziei, że się spotkamy z płcią piękną jeszcze raz na Hawajach. Koniecznie. Ta tęsknota tkwi w mojej podświadomości stale i jest może silniejsza niż tęsknota za rodziną pozostawioną wówczas w kraju. Prawdę powiedziawszy, w całej podróży nie tęskniłem ani razu za domem, a pobyt na statku zaciążył mi dopiero, jak po przyjeździe do Gdyni zwałił się na statek tłum witających. To był koszmar, straszna chwila. [...]

Odcinek do Japonii przebyliśmy w 1,5 miesiąca. Przed wypłynięciem do Yokohamy spotkał nas cyklon (po japońsku tajfun). To było dla nas największe przeżycie żeglarskie. Wiatr zmieniał kierunek, prąd wodny Kuroszio z SW znosił nas z kursu, musieliśmy w dryf stanąć. Komendant zarządził wyrzucenie włók napojonych oliwą, aby zmniejszyć bryzgi fali. Zerwał się blok od szota i zaczął się miotać, mogąc kogoś nawet zabić. Trzeba było szybko spuścić stersztaksel. Sztormowaliśmy dość długo, wreszcie pogoda się na tyle poprawiła, że mogliśmy doptynać do portu⁵⁵.

W Yokohamie Japończyk zaprosił paru uczniów do siebie do domu. „Trzeba było uważać, aby nie mieć dziurawych skarpetek, gdyż wchodząc do mieszkania zdejmuje się buty. Chodzi się i siedzi na matach po turcku, co dla nas było uciążliwe. Japończyk pokazywał nam gry japońskie i częstował zieloną herbatą, kłaniając się uniżenie.

Mamy specjalnie drukowane dla nas bilety tramwajowe gratisowe na cały pobyt. Od polskiej placówki dyplomatycznej otrzymujemy jedwabne, niebieskie z kwiatkami, chusteczki. W narożach wydrukowane flagi narodowe japońska i polska. Okręt szkolny «Nippon Maru» dobija do nabrzeża obok nas. Robimy nawzajem kurtuazyjne wizyty. [...]

Nagasaki: statek zdobimy w galę. Jest święto kwitnącej wiśni, jest ciepło. Chodzimy jeszcze po mieście, aby trochę pamiątek pokupować. Wchodzimy z paroma kolegami do herbaciarni. Parę tańców wystarczyło, aby się w dziewczętach zakochać. Gustujemy z Muckiem w tym samym typie. Ale problemów z tym nie mamy. Chieko... jakie to pieszczotliwe imię. Raczej jest problem z rozstaniem; znowu z żalem przyjdzie opuszczać ten piękny kraj i ludzi. Muszę tam wrócić – obiecuję sobie. – Nagasaki wzbudza dziś nieco inne refleksje. Czy i którzy z tamtych przyjaciół przeżyli wojnę?

17 marca opuszczamy wyspy i bierzemy kurs na zachód, na Shanghai. Jesteśmy uprzedzeni, że na morzach chińskich grasuje piractwo. Oficer wachtowy ma do dyspozycji karabin i wachtowego lub dwóch na oku.

Nagle... widzimy wyraźną linię granicy mórz: wpływamy z morza granatowego w Żółte. Linia jak w zawiesinie. Lessowa woda rzeki Jang Tse Kiang daje o sobie znać na wiele mil od jej ujścia. Wpływamy do kanału i na jego środku zarzucamy kotwicę. Kontakt z lądem motorówką lub łodzią wiosłową, ktoś przynosi makabryczne, ale autentyczne fotografie: egzekucje piratów na specjalnie przygotowanych placach z trybunami. Tu obcinanie głów, tam obcinanie genitaliów itd. – taką propagandą odstraszać ludzi przed uprawianiem piractwa. – Dziś podobno nie jest lepiej, tylko obszar piractwa jest rozleglejszy. [...]

W któryś dzień obchodzimy drugie przekroczenie równika. Odbywają się imprezy: walki na bomie, wyścigi z jajkiem na tyżce

trzymanej zębami, przeciąganie liny między wachtami i wiele innych zabawnych konkurencji z nagrodami. [...]

Ale już jesteśmy na Oceanie Indyjskim i płyniemy do Australii, do małego portu Broome. Aby się nazywało, że byliśmy na wszystkich kontynentach. [...]

Bosman «Waju», który nigdy prawie na ląd nie wychodził i nie pił – tym razem wyszedł i zalał się w trupa tak, że trzeba go było wnieść do koi. Krzysiek Konopnicki [abs. WN z 1937] rzucił pomysł, że w tym stanie można by mu obciąć wąsy. Wąsy – jego duma. Opowiedziałem o tym pomysłem moim kumpłom, przedstawiając to jako wesoły żart. Już leżałem w hamaku i spałem – było ok. północy, gdy mnie Pępek zbudził. – Postanowiliśmy obciąć Wajowi wąsy, idziesz? – Byłem trochę zły, tym bardziej, że do Waja nie miałem żadnego żalu i lubiłem go. Ale skoro triumwirat tak uchwalił, nie mogłem się wyłamywać. Do mojego zadania należała czynność samego strzyżenia; drugi stał



Bosman Jan Leszczyński „Waju” i jego wąsy, za obcięcie których uczeń Grosse wyleciał ze szkoły

na warcie patrząc, czy ktoś nie idzie, a trzeci trzymał głowę. Wszystko poszło planowo, jedynie ja przystrzygłem wąsy niesymetrycznie tak, że z daleka wyglądały po zaczesaniu jak skrócone. Stoję przy czyszcze-

niu mosiądzu i przyglądam się ukradkiem. O ósmej zbiórka, jak zwykle – komendant zaczął mówić o krzywdzie bosmana i ... głos mu się załamał. Nie skończył mowy. Skończył ją I oficer kpt. Meissner zapewnieniem, że on tego nie daruje i... zaczęło się śledztwo. Okazało się, że piekarz, który szedł zawsze w nocy piec chleb, widział paru z nas. Zdrajca! Powoli, po nitce do kłębka wydało się wszystko i musieliśmy przeprosić bosmana. – Chyba darował mi, bo pływając jeszcze potem dwukrotnie na «Darze Pomorza», przestał na mnie patrzeć z ukosa. Był istotnie dobrym, aczkolwiek surowym i nie mściwym człowiekiem. Jednak konsekwencje tego żartu odczułem bardzo dotkliwie! Po podróży zostałem wydalony ze Szkoły Morskiej. Wróciłem dopiero w rok później,



po ponownym badaniu lekarskim i egzaminie konkursowym za czasów nowego dyrektora szkoły kpt. Kosko, który był IV oficerem w podróży, moim oficerem wachtowym, zarazem naszym ulubionym «Ojcem»⁶.

Do Gdyni „Dar Pomorza” zawinął 3 września 1935 r., a Andrzej Grosse wrócił na rok do Krakowa, gdzie zdał eksternistycznie maturę w VIII Gimnazjum im. A. Witkowskiego, po czym wrócił do Szkoły Morskiej w Gdyni.

W czerwcu 1939 r. stanął przed komisją poborową i uznany został za zdolnego do czynnej służby wojskowej, a powołanie nadeszło w sierpniu.

Teoretyczne i praktyczne egzaminy dyplomowe zdał latem 1939 r. i został zaokrętowny na „Dar Pomorza” w letni, ostatni – jak się okazało – przedwojenny rejs żaglowca.

Przeczuwając zbliżającą się wojnę, dyrektor PSM kpt. ż.w. Stanisław Kosko zaokrętownął na szkolny statek wszystkich niemal uczniów Wydziału Nawigacyjnego.

W ostatnich dniach sierpnia Biała Fregata została skierowana do Sztokholmu. Stałtąd 8 września 1939 r. samolot Polskich Linii Lotniczych zabrał grupę 11 uczniów – wyłącznie tych, którzy mieli karty mobilizacyjne. Do kraju wrócili: IV oficer „Daru Pomorza” Kazimierz Jurkiewicz (abs. WN z 1934), uczniowie III kursu nawigacyjnego: Józef Babkiewicz, Aleksander Bramiński, Bohdan Dębski, Andrzej Grosse, Bohdan Korsak, Zygmunt Ladenberger, Zygmunt Łada, Roman Tomaszewski, uczeń II kursu Wilhelm Żmuda i uczeń kursu wstępnego, syn bosmana „Daru” Jerzy Leszczyński. Samolot wylądował w Rydze, skąd udało się Andrzejowi Grosse dotrzeć do Krakowa.

„Z Rygi przez Świąciany i Wilno udała się większa część naszej grupy do Pińska, dokąd otrzymaliśmy skierowanie zbiorowe z wojskowej placówki granicznej. Do Pińska dobrnęliśmy 14 września 1939 r. Ponieważ Komenda Portu Wojennego w Pińsku potrzebowała jedynie przeszkolonych ochotników, wcieleniu do służby wojskowej podległo tylko dwóch kolegów rezerwistów (Kazimierz Jurkiewicz i Bohdan Korsak), a inni dostali zaświadczenia ze skierowaniami do miejsc zamieszkania. Jako że Kraków był wówczas okupowany, otrzymałem zaświadczenie z podaniem miejsca zamiesz-



Gdynia: zwiżanie żagli (wimpel na Kręuz-masce: 1^m dług. oznacza 1 milę przebytej drogi).

Zdjęcia z albumu Andrzeja Grosse

kania: Lwów. Grupa nasza składająca się już tylko z dziewięciu ochotników została rozbita przy jednym z nalotów hitlerowskich samolotów na pociąg koło Łunińca⁷”.

Większą część drogi odbył przeważnie piechotą wzdłuż torów kolejowych przez Równę i Brody do Lwowa, gdzie już spotkał wojska radzieckie. We Lwowie zatrzymał się u swojej ciotki, ale nie chcąc być jej balastem, udał się przez Lesko i Sanok do domu. W Krakowie czas jakiś pracował w sklepie rodzinnym.

Pragnął jednak przedostać się do marynarki, „w której jako fachowiec mógłbym aktywnie i pożytecznie współuczestniczyć w uwalnianiu się od agresji i przemocy hitlerowskiej⁸”. Próbował przedostać się przez Węgry. Pierwsza wyprawa w lutym 1940 r. zakończyła się fiaskiem, bowiem wynajęty przewodnik nawiał i ok. 20 uciekinierów-narciarzy pozostawił w lesie bez kompasu i mapy koło miejscowości Żubracze (Bieszczady). Druga przeprawa pięcioosobowej grupy przez Nowy Sącz i Szczawnicę udała się z końcem marca 1940 r.

Na Węgrzech (Koszyce) znalazł się 31 marca 1940 r. Następnego dnia pojechał do Budapesztu, stamtąd 5 kwietnia z paszportem na fałszywe nazwisko Kantyk Miller wyjechał do Modane we Francji, a następnie do stacji zbornej w Bressuire.

„Moje wysiłki, aby się dostać do marynarki wojennej lub handlowej, nie udały się. Pisma i podania kierowane do Ministerstwa Spraw Wojskowych (Kierownictwo Marynarki Wojennej), jak również do «kompetentnego» do spraw marynarzy Wiktora Rosińskiego w Paryżu pozostały bez odpowiedzi. W końcu zostałem przydzielony dnia 14 lipca 1940 r. do 2. Dywizji Strzelców Piechoty, 4. Pułku, 9. Kompanii kpt. Komischa, początkowo do plutonu Przeciwlotniczego. Pluton ten rozwiązano po około dwóch tygodniach z powodu nieotrzymania dział. Zostałem przydzielony do kompanii por. Szykowskiego. [...] Szczególnie pamiętny był dla mnie dzień 18 VI w mieście Maiche, które stanęło w płomieniach na skutek ognia artyleryjskich trwających od 14 do 21 godziny. Stanowisko naszego plutonu było na krańcu miasta, na skraju lasu przy szosie wylotowej. Stojąc wieczorem, po uciśnięciu strzałów na zboczach górzystego terenu, mieliśmy widok płonącego miasta, na którego przedpolach rysowały się [...] rozproszone, niefrasobliwie pasące się, osiodłane konie marokańskie bez spahisów⁹”.

Zgodnie z decyzją i na rozkaz dowództwa po wyczerpaniu się amunicji artyleryjskiej pluton przekroczył granicę Szwajcarii w nocy z 19 na 20 czerwca 1940 r. Tam zo-



stał internowany i przetrzymywany w kilku różnych obozach wojskowych. Korzystając z możliwości studiów w obozie studenckim dla internowanych żołnierzy polskich w Winterthur, ukończył wydział architektury politechniki w Zurychu 12 czerwca 1945 r. (nostryfikowany przez rektora Politechniki Krakowskiej i dziekana Wydziału Architektury 17 listopada 1973 r.) i jeszcze przez ponad rok pracował w biurach projektów przy

pracach kreślarskich i konkursach architektonicznych w Atelier Dr. Rohn, Zurich.

Do kraju przyjechał 12 października 1946 r. z zamiarem powrotu do marynarki handlowej. Pod koniec listopada wyjechał do Gdyni i zamieszkał w Domu Marynarza, czekając na zatrudnienie, a w połowie grudnia otrzymał angaż na s/s „Wilno” jako marynarz. Jednak podczas badań lekarskich okazało się, że jego wzrok w międzyczasie osłabł i na podstawie ówczesnych przepisów dyskwalifikował do pływania w służbie pokładowej (obecnie zezwala się na pływanie w okularach korekcyjnych). Poprosił lekarza portowego, aby dał mu zezwolenie na okres półroczny, tj. do czasu uzyskania stażu potrzebnego do wypływania dyplomu porucznika żegluga małej, na co ten się zgodził.

W kwietniu 1947 r. wrócił do Krakowa. Znalazł pracę w Biprohucie w Zabrze i został starszym technikiem budowlanym, a w 1949 r. konstruktorem w dziale projektowania Nowej Huty w Głównym Biurze Studiów i Projektów Górniczych w Krakowie.

W 1981 r. wziął udział w spotkaniu uczestników rejsu żaglowcem dookoła świata, zorganizowanym przez rektora Wyższej Szkoły Morskiej prof. dr. kpt. ż.w. Daniela Dudę. Z tej okazji przygotował barwne wspomnienia, które w biogramie tym szeroko cytujemy.

Zmarł 19 kwietnia 1993 r., spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Kopie zdjęć i dokumentów rodzina przekazała do Sali Tradycji UMG.

Źródła: *Kadry morskie Rzeczypospolitej*, tom I, pod red. Jana Kazimierza Sawickiego, wyd. II, Gdynia 2000; Andrzej Grosse, *Wspomnienia z podróży dookoła kuli ziemskiej w latach 1934/1935 na „Darze Pomorza”*, maszynopis w zbiorach Sali Tradycji UMG; biogram Andrzeja Grosse w zbiorach Sali Tradycji UMG.

- 1 Andrzej Grosse, *Wspomnienia z podróży dookoła kuli ziemskiej w latach 1934/1935 na „Darze Pomorza”*, spisane w związku ze spotkaniem w czerwcu 1981 r. uczestników rejsu, w zbiorach Sali Tradycji – D/1744, s. 1.
- 2 List Pawła Gembczyka z pokładu „Darza Pomorza” w Honolulu do kolegów z gimnazjum w Rybniku, w zbiorach Sali Tradycji – D/615, s. 1.
- 3 Andrzej Grosse, *Wspomnienia...*, op. cit., s. 1.
- 4 Ibidem, s. 5.
- 5 Ibidem, s. 7-8.
- 6 Ibidem, 8-11.
- 7 Życiorys Andrzeja Grosse z 1975 r., przekazany przez rodzinę, s. 1.
- 8 Ibidem, s. 2.
- 9 Ibidem, s. 2-3.